

AGNIESZKA KAWULA

ROZMOWY Z HINDUSKIM MISTRZEM

ŹRÓDŁO TWOJEJ METAMORFOZY



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro



AGNIESZKA KAWULA

ROZMOWY Z HINDUSKIM MISTRZEM

ŹRÓDŁO TWOJEJ METAMORFOZY



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

[Kup książkę](#)

Redakcja: Mariusz Warda
Skład komputerowy: Piotr Pisiak
Projekt okładki: Piotr Pisiak
Zdjęcie na okładce: © lily – Fotolia.com

Wydanie I
Białystok 2014
ISBN 978-83-7377-697-5

© Copyright for this edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2014.
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku.
www.facebook.com/Wydawnictwo.Studio.Astropsychologii



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – www.talizman.pl – detal
sklep firmowy: Białystok, ul. Antoniuk Fabr. 55/20

Więcej informacji znajdziesz na portalu www.psychotronika.pl

PRINTED IN POLAND

[Kup księbkę](#)

*Ode mnie dla siebie.
Ode mnie dla Ciebie.*

Kup książkę



Spis treści

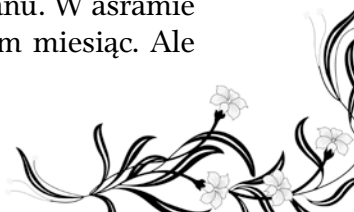
W poszukiwaniu początku	9
Indie po raz drugi	19
No i się zaczęło...	21
Bardzo lubię poniedziałki	25
Poniedziałkowa opowieść	33
Jedzenie jest Bogiem	41
Kamienie na Drodze	47
Skazaniec w świątyni	55
Z mantrą na ustach	61
Kilka słów o hinduskiej świątyni	69
Rzecz o jodze i kilku innych ważnych sprawach . . .	73
List do C.	81
Dźwięk dzwoneczków	89
Jedna szklanka piwa	93
Kochając Ganeśę	99
Miesiąc bez Ganeśi miesiącem straconym	111

W poszukiwaniu odpowiedniego lekarstwa	121
Uniwersalne prawo przyciągania	129
Śpiewając imię Boga	145
Cała prawda o...	157
O wyższości guru nad Bogiem	163
Modlitwy żony	177
Straty i odzyski	185
Śiwaratri	193
Bóg jest muzyką	201
9 dni dla Najwyższej Bogini	211
Być jak szkatułka	227
Tantra – mantra – jantra	235
Wrywanie chwastów umysłu	241
Ciąg dalszy wielkich porządków	249
Mistrz	263
Los zapisany w gwiazdach	271
Ach, ten umysł...	287
Jeszcze w Indiach...	297
Epilog	305

W poszukiwaniu początku

W którym miejscu zaczyna się moja podróż do Boga, tak naprawdę nie wiem. Prawdopodobnie moi rodzice byli tą pierwszą rakieta do Niego. Stworzyli mnie. Tam, gdzie zakończyła się ich rola, rozpoczyna się samodzielna wędrówka. Były, są i zapewne jeszcze będą momenty, kiedy stwierdzę, że mam dość, że za trudno, że znowu nic nie rozumiem i nie czuję, by moja rakietka funkcjonowała, jak powinna. Wierzę, że wszystko jest po coś, ma swoje przeznaczenie, jaką rolę do odegrania, sens większy, niż się wydaje. Dopóki mam tę ufność, oddycham, wstaję codziennie rano z łóżka i rozpoczynam dzień. Głównie w Polsce, w chwili, gdy piszę – w Indiach. Skąd mam tę siłę? Nie wiem. Ta niewiedza męczyła mnie już dość mocno. Na tyle stała się niewygodna, że wbrew logice 9 stycznia 2012 roku znalazłam się w samolocie, z którego wysiadłam na prawie dwa miesiące w Indiach.

Wylądowałam w Bangalurze. Odetchnęłam gorącym powietrzem i wyczułam w nim COŚ. Jeszcze nie wiedziałam co, ale było mi dobrze. To wystarczyło, żebym wsiadła do taksówki, która zawiozła mnie do Puttaparthi, do aśramu Sai Baby. I tu Bóg zadzwonił z mojej logiki i planu. W aśramie miałam zamieszkać tylko pięć dni, zostałam miesiąc. Ale





od początku... – choć sama nie wiem, gdzie ta historia się zaczyna. Myślę, że gwiazdy wiedzą to dużo lepiej ode mnie. Posłusznie wykonuję ich polecenia.

To, że świat jest mały, wiemy wszyscy. On jest naprawdę mały! I przypadki to wielkie nieporozumienie! Wszystko jest tak skonstruowane, misternie dobrane i utkane, że nie ma tu miejsca na przypadki. Jedna z nici cudnego wzoru mojego życia doprowadziła do aśramu Baby moją znajomą, Monikę. To ona sprawiła, że znalazłam się na krześle u bramina, astrologa, magicznego i niezwykle człowieka, Bharatha Thambiego.

Z Moniką spotkałyśmy się podczas posiłku w stołówce i po krótkiej rozmowie już wiedziałam, że to COŚ, które wyчуłam na początku, poruszyło się we mnie zdecydowanie i skierowało moje kroki do Bharatha. Monika zna go od paru lat. Jego zalecenia się sprawdziły, praktyki pomogły, gwiazdy przemówiły i wyjaśniły wiele życiowych dylematów, łaskawie podszeptały, co robić dalej... I tak to Agnieszka, zawsze sceptyczna i logiczna na początku, ale zachęcona przez Monikę, postanowiła umówić się na konsultację astrologiczną.

No i się zaczęło! Z drżeniem serca wchodziłam do ciemnego budynku, po schodach, o których tylko dzięki moim stopom wiedziałam, że istnieją, do pomieszczenia, którego nie da się opisać słowami, jedynie obrazem. Przywitał mnie mały pokój, z pajęczynami tu i ówdzie, obrazkami Bogów Ganeśi i Śiwy, piramidkami, notatkami, zaschniętymi pszczołami na oknie i brzęczącym wiatrakiem, który rozkosznie chłodził zmęczone upałem ciało...

I był przede wszystkim ON, siedzący za niewielkim biurkiem. Radosny, promieniejący, energetyczny, tajemniczy. Moje COŚ bardzo się ucieszyło na jego widok i przez prawie cztery godziny siedziało wбите w siedzenie, bo każde wypowiedziane przez Bharatha zdanie miało potwierdzenie w moim ży-



ciu. A kiedy już skończył mnie prześwieślać, nie miałam żadnych pytań, bo uzyskałam odpowiedzi, zanim zadałam pytanie. Pod koniec wizyty zapytałam, czy może gwiazdy poradzą coś na moje bóle głowy i bezustanne napięcie czoła... „Tu nie w gwiazdach trzeba szukać, tylko w jodze – powiedział Bharath. – Przyjdź jutro i przez dwa kolejne dni. Zrobimy pudżę, żeby wprowadzić do twojego życia spokój i dobrobyt, pokażę ci też kilka asan, żeby pomóc twojej głowie”. Ucieszyłam się ogromnie, bo obiecał, że napięcie zniknie, i choć byłam sceptyczna, postanowiłam przyjść. „A ile to kosztuje?” – zapytałam. Bharath uśmiechnął się całym sobą i odpowiedział: „Nic. Masz dobrą karmę. Będę cię uczył. Nie zawieź mnie. Mam tylko kilkoro uczniów...”. I tak zostałam uczennicą kogoś, kto jest mi przyjacielem i Mistrzem zarazem. Mieliśmy się spotykać przez trzy kolejne dni. Odwiedzałam go przez trzy tygodnie. Po kilka godzin dziennie zmagalam się z własnymi ograniczeniami, lękami, słabościami.

Asany, które mi zademonstrował, wydawały się czymś niezwykle trudnym, ale w chwili, kiedy zaczynałam ćwiczyć, wysiłek znikał, pojawiała się duma, że ja też tak potrafię, i radość z wykonanego ćwiczenia. Bharath okazał się cudownym Nauczycielem. Poważnym, kiedy trzeba, dowcipnym w odpowiednim momencie, motywującym, kiedy ciało się buntowało i bolało tak, że ledwo wstawałam z łóżka, wynagradzającym za wysiłek i wytrwałość (ćwiczyłam dwa razy dziennie, a czasem nawet trzy, zakochałam się zupełnie w jodze, a ona we mnie, bo do dziś wzbogaca moje wnętrze nowymi cudami), troskliwym, bo kiedy dowiedział się, że nie mogę jeść w aśramie, jego żona gotowała mi obiady i karmiła mnie.

Przede wszystkim stał się moim przyjacielem, który zaprosił mnie do swojej rodziny. Spędziłam z nim, jego żoną i trójką dzieci (w wieku 8, 10 i 13 lat) magiczny czas. Po pierwszej wizycie w jego domu nie mogłam mówić. Wróci-

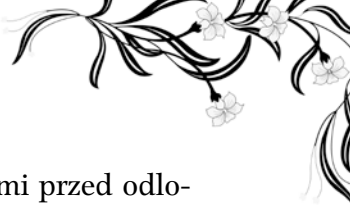


liśmy do biura na kolejne ćwiczenia i nauki. Zapytał mnie: – Jak rodzina? Podoba ci się? Które z dzieci spodobało ci się najbardziej? – A ja milczałam. Miałam ściśnięte gardło. Z oczu popłynęły mi łzy, połączone z pełnym wdzięczności uśmiechem... Dopiero po dłuższym czasie wyjaśniłam, że tyle miłości na raz nie dostałam w całym moim 30-letnim życiu i potrzebuję chwili, żeby się rozlokowała we mnie. Dzieci traktowały mnie jak starszą siostrę, a żona – jak przyjaciółkę. Dzieliliśmy się sobą i każde z nas czuło, że odnalazło kogoś ważnego dla siebie. Na wspólnych zabawach i rozmowach spędziliśmy ładnych kilka dni, a i noc się trafiła ciepła i wyjątkowa...

I kiedy pokochałam upały i kąpiele w zimnej wodzie cztery razy dziennie, kiedy ciało przestało boleć i okazało się niezwykle wdzięczne za włożony wysiłek, kiedy przestały mi przeszkadzać chodzące po mnie mrówki i wszechobecny dźwięk klaksonów samochodowych, kiedy polubiłam nawojujących sklepikarzy i zaczęłam wpadać do nich na pogawędki, kiedy zaczęłam doceniać to, co otrzymałam, przyszedł czas wylotu z Indii. To było najtrudniejsze pożegnanie w moim życiu...

Żegnano mnie ze łzami w oczach, z kwiatami i gorącymi uściskami. Scena filmowa, a wydarzyła się naprawdę... Nie chcieli mnie wypuścić, proponowali, żebym została dłużej, że kupią mi bilet powrotny, kiedy zechcę... I choć była to propozycja bardzo kusząca, wiedziałam, że muszę wrócić, poukładać się w sobie, zamknąć życiowe sprawy w kraju, praktykować to, czego się nauczyłam, żeby nie zawieść Nauczyciela i samej siebie. Do pewnych rzeczy potrzebna jest jedynie samotność. To kolejny test Boga: Czy wytrwasz? Jak silna jesteś, kiedy nie ma przy tobie kogoś, kto poda ci rękę, kiedy upadniesz?

Powrót do Polski był długi, męczący i smutny. Każda mila bliżej Warszawy to morze przelanych łez, których nie



mogłam powstrzymać. Bharath powiedział mi przed odlotem: „Wrócisz tu za dwa miesiące, pomyśl o pobycie w Polsce jak o wakacjach. Jedziesz tam odpocząć. Tu zebrałaś najpiękniejszy nektar, niech tam w tobie wzrasta, już niedługo się znowu zobaczymy”.

Po powrocie moje życie wywróciło się do góry nogami. Przez dwa miesiące przetoczyło się przeze mnie tornado i zabrało mi wszystko. Pusta wewnątrz i zewnątrz 24 kwietnia 2012 roku ponownie wylądowałam w Indiach. Tym razem na pięć miesięcy.

Ale zaraz, zaraz... Wróciłam do Indii nie bez przygód. Moje lekcje w boskiej szkole życia zaczęły się nie na żarty. Miałam poważne problemy z otrzymaniem wizy. Zależało mi na tym, by jak najszybciej wyjechać, a że dopiero co wróciłam, musiałam odczekać przepisowe dwa miesiące w Polsce. Odczekałam. Co do jednego dnia obliczyłam datę wyjazdu, kupiłam bilet, złożyłam podanie o wizę. Na trzy dni przez wylotem otrzymuję wiadomość: wizy nie ma, trzeba jechać do ambasady, wyjaśnić, dlaczego tak szybko chcę wrócić. Pojechałam, wyjaśniłam, urzędnik był nieugięty. Jego NIE dźwięczało mi w głowie nieznośnie. Odrzucił prośbę, odesłał z kwitkiem do domu, kazał złożyć inne podanie – że nauka jogi, że zwiedzanie, że duchowość... Na wszystko różne formularze. Wysłałam podłamana, ze łzami w oczach. Paszportu nie oddali... Dziwnie tak. Może jeszcze jest nadzieja? Znajomy agent z biura podróży pomógł. Zarezerwował mi nowy bilet, fikcyjny, żebym już nie straciła drugiego (a pierwszy przepadł, pieniądze bezzwrotne), poradził iść raz jeszcze, tym razem po odbiór paszportu. I poszłam. Zażądałam, kazali znowu czekać. Ale jak to? Przecież ja już niczego nie chcę, oddajcie mój dokument. Proszę czekać. Dlaczego? – Bo może jeszcze coś możemy dla pani zrobić – powiedział inny urzędnik, na innym piętrze, z przy-



jaznym nastawieniem. I czekałam. Cztery godziny. W końcu zawołano mnie piętro niżej, do tego samego urzędnika, który twardo odmawiał mi wyjazdu do Indii... Popatrzył na mnie. Zdziwił się, że to znowu ja. A dlaczego tak bardzo chcę wracać? Co tam będę robić? Już byłam mocno zrezygnowana. Popatrzyłam mu głęboko w oczy, zmówiłam polską modlitwę i powiedziałam w języku angielskim, rzecz jasna, że ja chcę się już tylko modlić. Szukam Boga, taka jest prawda, a w Indiach mam Nauczyciela, który obiecał pracować nade mną i otworzyć moje serce na Boga, bym już nigdy nie czuła się osamotniona, bym wierzyła, bym ufała. Usłyszałam: – Dobrze, dam pani wizę na pół roku, Lord Kryszna panią zbawił. – I jak nigdy nic zaczął ze mną przyjaźnie rozmawiać, podziwiać moją determinację i to, że biała, młoda kobieta chce poznać jego kulturę. Życzył powodzenia. Odesłał mnie na piętro wyżej, gdzie miałam odebrać paszport z wizą w środku. Poszłam, odebrałam.

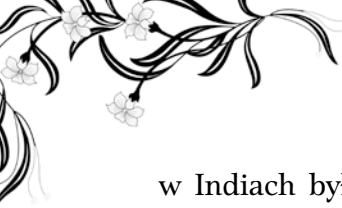
Był piątek. Piękny, słoneczny piątek. I była nowina odbierająca mowę. Koleżanka zadzwoniła do mnie i poprosiła o numer mojego konta. Przeląła mi pieniądze na nowy bilet, niech żyją marzenia! Straciłam trzy tysiące, zyskałam prawie tyle samo. Łzy wzruszenia były ogromne. Wydawać by się mogło, że cały Wszechświat jest przeciwko tej wyprawie, wiele osób mi ją odradzało, mówiło, bym przemyślała sprawę, że przecież tyle trudności, że to COŚ oznacza. Tak, dla mnie to oznaczało, że chcę, że zdania nie zmienię, że muszę tam być, bo chcę UWIERZYĆ, i muszę to zrobić właśnie TERAZ...

Nowy bilet kupiony, cudowne zrządzenie losu, były miejsca praktycznie z dnia na dzień. I tak jak miałam bilet w ręku, tak pochwalałam się swoją wizą agentowi, a ten mi mówi, że nie mam wizy. Jak to?! Przecież mi wbili. A wbili, ale nie podpisali! Myślałam, że zwymiotuję. Naprawdę



cała moja istota zrobiła się taka pusta, że gotowa byłam odlecieć gdzieś w przestrzeń i już nie wracać. Sobota, godzina 11.30. Nie było czasu na żadne wahania. Ambasada nieczynna, ale może ktoś tam jest, może pomoże. Coś się na pewno da zrobić. Z szaleństwem w oczach, pustym żołądkiem, paszportem i kupionym biletem pobiegłam przed siebie. Tramwaj, półgodzinna jazda na bezdechu, 15-minutowy bieg po ulicach Warszawy do ambasady Indii. Na portierni siedziała pani. Popatrzyła ze współczuciem, kiedy wyjaśniłam moją sytuację. Może do kogoś zadzwonić? Zawołać? Co robić? Bezradnie rozłożyła ręce. Dziś urząd pusty, nikogo tu nie ma. Przejechałam się po wszystkich piętrach. Pusto... Ze stresu i głodu prawie zasłabłam. Pani dała mi banana i szklankę wody. I kiedy tak mówiłam do Boga, że ja się chcę do Niego modlić właśnie w Indiach, że chcę Go poznać właśnie tam, windą zjechała hinduska rodzina. Pani strażnik mówi, żebym szybko z tym panem porozmawiała, że on tu pracuje, że może coś pomoże. Więc tym razem szarpanym angielskim wyjaśniam, wymachuję mu paszportem przed nosem, pokazuję puste miejsce, gdzie owszem, pieczętka się dumnie pręży, ale brak jej urzędniczego podpisu, na czym traci swój blask i ważność zarazem. Hindus na to, że on nie ma służby, że urząd zamknięty. Ale ja błagam, składam ręce w pozdrowieniu *namaste*, a moje oczy błyszczą jak nigdy dotąd pewnością, że JA CHCĘ TAM WRÓCIĆ. Hindus wyciąga telefon, mówi, że spróbuje zadzwonić po urzędnika, który może się tu podpisać. Połączenie trwa całą wieczność. W końcu odzywa się głos po drugiej stronie linii. Krótka rozmowa. Rozłączenie. Proszę czekać, ktoś przyjdzie. Mam ochotę paść mu do stóp, rodzina się cieszy, Hindus także.

Czekałam prawie godzinę w pustym urzędzie, z portierką. Opowiedziała mi o życiu swojej córki, która z mężem

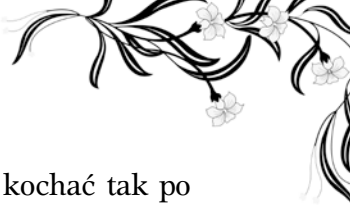


w Indiach była, że świat zwiedza, że taka odważna jak ja, że nigdy nie wiadomo, gdzie ją pogna i co wymyśli. W końcu w oddali widzę znajomą postać. To TEN SAM Hindus, który odmówił mi wizy... Kiedy mnie zobaczył, uśmiechał się od ucha do ucha jak nigdy nie! – O, to znowu pani?! – Pokazuję mu paszport i puste miejsce bez jego podpisu. – Och, to nie problem, już to naprawiam. – Podpisał, życzył miłego pobytu, bym znalazła to, czego szukam, i zniknął.

Nie wiem, co to za człowiek, ale wydaje mi się dziś postacią, która występowała w tej grze o wizę tylko dla mnie, może on tam już nie pracuje, a kiedy zacznę go szukać, dowiem się, że on wcale nie istniał i że coś mi się musiało pomylić. Jeden człowiek, a tyle lekcji mi udzielił! To jakby sam Bóg mówił, że droga do Niego jest trudna, kamienista i czy ja na pewno chcę po niej wędrować. Kiedy powiedziałam sakramentalne tak, ramiona się otworzyły, a w serce spłynął nieopisany spokój.

Do Ciebie

Dziś coraz bardziej czuję, że sami możemy napisać każdy kolejny dzień. Nie warto czekać, oddawać swojej władzy innym, tracić energii na coś, co nam nie służy. Sprawa może początkowo wcale nie jest taka prosta i oczywista, ale jeśli dać sobie szansę... Choćby taką najmniejszą, wtedy cały Wszechświat nieograniczonymi możliwościami pomaga, delikatnymi podmuchami pcha do przodu, zachęca, by iść dalej ku życiu bez lęku, odrzucając to, co niewygodne, bez żalu. Ale jest kilka zasad po drodze... Uwalniać, puszczać, zostawiać, ufać. Rakieta Twojego życia wie, jak ma lecieć, po prostu jej nie przeszkadzaj.



Cóż... Nikt nas tej sztuki nie uczył. Jak kochać tak po prostu samego siebie, żeby nie nazwano Cię gruboskórnym egoistą? Nikt nie mówił, jak widzieć w sobie cud. Nikt nie pokazał, jak piękni jesteśmy. I nie wiem, dlaczego tak jest, że sprawa najwyższej wagi stała się po drodze tak nieważna... I dlatego warto wyruszyć w tę największą podróż od siebie do siebie po siebie... I nieważne, ile czasu to zajmie. Dla siebie samego warto iść na koniec świata, nawet jeśli tam się okazuje, że to, czego się szuka, już się ma w sobie. Warto, byś wyruszył. Ty masz swoją drogę, ja swoją. Ty znajdziesz swoje ścieżki, których ja nawet z daleka nie widziałam, bo one są Tobie przeznaczone. Ale idź. Nawet jeśli mapy brak... Po drodze okaże się, że tak naprawdę jej nie potrzebujesz. Tylko wyrusz. Przed siebie. Do lasu. Do parku. Nad morze. Na plac zabaw. Idź tam, gdzie Ciebie jeszcze nie było, szukaj siebie w rzeczach, których jeszcze nie robiłeś, w sytuacjach, w których jeszcze nie znałeś. Poszerzaj siebie. Uwalniaj to, co już stare i przeszkadza w marszu. I możesz się bać. Pewnie. Sama nieraz łykałam powietrze strachu. Ale można się bać i iść... Początkowo to nie będzie proste. Stare ścieżki tak dobrze wydeptane przecież, umysł oswojony rozsiada się w swoim schematycznym królestwie i rządzi Tobą, mówi, kiedy spać i jeść, jak reagować, jak oddychać... Wchodząc na nową ścieżkę, trzeba wziąć porządną maczetę w dłoń i karczować puszcę myśli, które nie zgadzają się na przyjście nowego. Cierpliwie, dzień po dniu, wytrwale. Jednego dnia nie wytniesz, odrośnie stara myśl – one są silne jak mityczne wielogłowe smoki. I odkryjesz w sobie MOC, o jaką się nie podejrzewałeś, bo tuż przed upadkiem poczujesz, że możesz jeszcze i jeszcze, i jeszcze... Aż końcu wyjdiesz na jasną polanę, otrzesz pot z czoła i... westchniesz z ulgą. A spoglądając w spokojną taflę jeziora, zachwycisz się... SOBĄ.

Indie po raz drugi

Przespałam wiele nocy, niektóre po kilkanaście godzin, niektóre tylko przez kilka. Spać, ciągle spać. Budzić się tylko po to, by zasnąć. Po dwóch tygodniach tego dziwnego letargu zobaczyłam, jak bardzo byłam zmęczona, ile dni ciało wytrwale znosiło moje nastroje, pracę czasem ponad miarę, stres... Sznurki samokontroli zaczęły puszczać. Powoli, z oporem... W końcu już nic nie trzyma! O dziwo, nie rozpadłam się! Zaczynam tworzenie samej siebie od nowa. Otwieram oczy, świat we mnie chwilowo bez zmian, za to ten dookoła – w ciągłym ruchu. Wczoraj wieczorem Warszawa, rano samolot z lądowaniem w Paryżu, w nocy Bangalur w Indiach. Mój tymczasowy nowy dom. Przemieszczam duszę z miejsca na miejsce z nadzieją, że ona wie lepiej ode mnie, gdzie powinna być i co jest dla niej najlepsze.

Siadam zatem wraz z moją duszą na drewnianym krześle w pięknym domu w Puttaparthi. Obok na krześle siedzi Prasida, moja 13-letnia hinduska siostra, zapisuje coś w pamiętniku, druga, 8-letnia Natasha zawzięcie coś studiuje, a 10-letni brat Abhisheik gra w ulubioną grę komputerową. Mój Mistrz Bharath jeszcze śpi po nocnych modlitwach, Reenu – jego żona – kończy poranną rundkę *dżapamali*, jest 11.00, przed chwilą skończyła gotować lunch dla nas wszystkich. Chomik Magic z pasją ostrzy zęby o pręty





klatki, a jeszcze przed minutą z pewną niechęcią zakończył ulubioną asanę – śavasana (pozycja relaksu).¹ Są jeszcze dwa małe koty, które słodko śpią w swoich ramionach.² Ich ulubione miejsce wytchnienia od upałów – wiadro. I są jeszcze ptaki cudnie śpiewające z ukrycia, jakim jest dla nich drzewo *neem*, uznawane za jedno z najlepszych naturalnych lekarstw w tym kraju. Oczywiście nie mogę też zapomnieć o komarach, o pracowitych mrówkach, które równymi rządkami przemieszczają się w wyznaczonych przez siebie kierunkach (a czasem w moim pokoju, układając ze swych ciał kształt serca)... Ach, i są jeszcze błogosławione i wszechobecne wiatraki, bez których nie wyobrażam sobie codziennej egzystencji o tej porze roku. Dziś Bóg ma dla mnie postać białego, wiszącego i cudnie szumiącego wiatraka, równomiernie wprawiającego w ruch gorące powietrze.

I tak całkiem nie przypadkiem jestem tu i teraz, w hinduskiej czasoprzestrzeni, z ludźmi, którzy mnie kochają, poją, karmią, uczą, akceptują. Jakim cudem moja rakieta zatrzymała się akurat tu? Nie wiem.

¹ Niestety, dwa miesiące później Magic zmarł w tragicznych okolicznościach, zjedzony przez jednego z kotów.

² Po trzech miesiącach kocia rodzina powiększyła się o kolejne dwa maluchy.

No i się zaczęło...

Jest cisza pełna hałasu, której nie zagłuszy żadna muzyka. Harmider myśli płaczących się po głowie w kołowrotku zwojów mózgowych. Moje serce bije jak szalone, głośne niczym miedziany dzwonek towarzyszący każdemu *arati*. Bóg jest obecny, przyjął zaproszenie. Dziś tego nie czuję. Dziś jestem wciśnięta w ramę siebie samej i nie mam ochoty wychodzić. Dziś znikam, a drobne muśnięcie wiatru może unieść mnie na piaski pustyni, by tam wtopić w krajobraz. I już nie będzie wiadomo, która drobina piasku jest mną. Siedzę i drzę. Krzywda jakaś mi się dzieje? Nie. Ktoś mnie żywi, poi, głaszcze. Nic nie muszę. Jestem sama ze sobą. Żarty się skończyły. Czuję, że wcale nie chcę być. Mądrzy ludzie mawiają, że czasem trzeba umrzeć, żeby zacząć żyć. Mam wrażenie, że we mnie umiera wszystko. Raz za razem. Dzień po dniu. Stare odchodzi. Nowe dopiero w zasianym nasionku czeka na wzrost. Nie wiem, czy i kiedy zdąży się pokazać na słońcu. Kolejna wewnętrzna śmierć zebrała właśnie obfite żniwo. I to przeraża jak cholera!

Nagle nie wiem, jak będzie wyglądał mój dzień, co w nim zrobię, a czego nie, kogo poznam, a kto przestanie być częścią mojej codzienności. Nikt mi nie może ulżyć, nikt nie podejmie za mnie decyzji. A tu się okazuje, że to ja i tylko ja mogę ją podjąć: jak chcę żyć, z kim się spotykać,



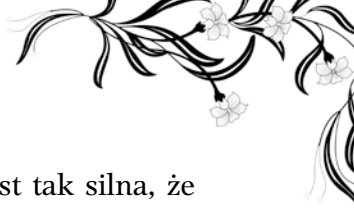


a z kim już nie? Już dość błotka i taplania się w nim. Już dość ocen, nakazów i zakazów. Już dość. Jednak zanim to nastąpi, muszę przejść przez to piekło bycia ze sobą. Czyż to nie okrutne, jak siebie traktuję? Z najgorszym wrogiem lżej wysiedzieć w jednym pomieszczeniu. A tu mam poznawać siebie lepiej?! Katorga! Nie mogę się zająć koleżanką, przyjaciółką, sąsiadką. Nie, jestem tylko ja, okazuje się, że całkiem sobie obca. A kiedy nie zostanie już nic, co będzie mnie we mnie samej przerażało, obrzydzało, złościło, a kiedy poznam już wszystko, co szczelnie ukryte, może wtedy błoto zamieni się w wielkie morze i popłynie?

Na razie moje morze stworzone jest z łez. Nie przypuszczałam, że można tyle wody z siebie wylać. Hinduska rodzina zamawia wodę do picia w 25-litrowych kanach. Ostatnio zaczęli ze mnie żartować, że mogę być dla nich dobrym zaopatrzeniem wodnym. Moja powłoka przestała być wodoszczelna. Przeciekam i nawet nie próbuję budować tamy. Czasem obserwuję drogę łez. Okazuje się, że można płakać z jednego oka i choćbym nie wiem jak była smutna, drugie pozostanie suchuteńkie. Z mojego jednego niebieskiego oka krople mogą stróżką spływać raz jednym kącikiem, raz drugim, raz środkową ścieżynką, raz trzema kanałami jednocześnie.

Cóż... tak naprawdę żadne słowa, żadna historia nie odda prawdy, którą przeżywa się w samotności. Słowa są ułomne. Nie niosą zapachu, bólu, radości, smaku, kształtu. Słowa wydobyte z głębi na powierzchnię stają się tylko zewnętrzzną formą, próbą opisanego czegoś, co może być tylko przeżyte, doświadczone. Słowa mogą jedynie zainspirować, zachęcić do samodzielnej podróży, która dla każdego będzie inna.

Dziś wiem, że można płakać bez przyczyny, a raczej z nierozpoznanej przyczyny. Przychodzi czasem taka wiel-



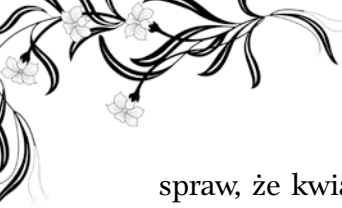
ka fala, której nie sposób powstrzymać. Jest tak silna, że gdybym próbowała to zrobić, rozerwałaby mnie na strzępy. Więc kiedy mój hinduski brat mówi: – Znowu masz czerwony nos, a twoje oczy robią się wilgotne, dlaczego chcesz płakać? – Odpowiadam: – Nie wiem.

Czuję, że czegoś mi brakuje, ktoś kiedyś zrobił bez mojej wiedzy operację i wyjął ze mnie coś bardzo ważnego. Od kilku lat staram się to odszukać. Dziwna to podróż, gdy szuka się czegoś, czego się nie zna, nie widziało, nie smakowało, nie czuło. W dniu, gdy to odnajdę, będę wiedziała, że to było właśnie TO.

W międzyczasie wypiję gorący czaj, delektując się idealną kombinacją czarnej herbaty, mleka i *dżagru* (brązowego cukru).

Do Ciebie

Początki mogą być nieciekawe. Bo kiedy zasiada się w ciszy, to należałoby się rzeczony ciszy spodziewać... No to się zdziwisz... Nagle, nie wiadomo kiedy, wyskakują z magicznych pudełek ludzie, sytuacje, emocje. A Ty tylko siedzisz. Nic nie robisz. Z nikim nie rozmawiasz. Nawet do siebie się nie odzywasz. Możesz wyłączyć wszystkie dźwięki. Możesz zamknąć się w dźwiękoszczelnej kapsule, ale umysłu nie wytłumisz. Nie od razu. On jest inaczej zaprogramowany. Dla niego musi się coś dziać, ktoś musi coś robić albo czegoś nie robić, albo – nie daj Boże – robi coś nie tak, jak tego zapragniesz... No, wtedy to da Ci do wiwatu! Trąby jerychońskie zawyją w Tobie! A Ty chcesz jedynie posiedzieć w spokoju. Odpocząć. Wyciszyć się. Myśl za myślą przyplływają. To naturalne. Taka ich natura. Pytanie, czy Ty na nie zareagujesz. Czy myśląc o tym, że trzeba załatwić tak dużo



spraw, że kwiatki podlać, że ugotować obiad, że ktoś coś, pozostaniesz jedynie obserwatorem, widzem filmu, który aktualnie wyświetla się w Twojej głowie? To nic, że grasz tam główną rolę i właśnie ktoś powiedział Ci coś mało fajnego. To nic. Ty teraz siedzisz i oddychasz. Nie obchodzi Cię nic innego. Żaden dźwięk. Żaden obraz. Nic... Czasem pojawią się łzy. To też jest w porządku. Niech płyną. Woda oczyszcza, drażnia, odżywia. Czasem właśnie tak najlepiej. Ale niczego nie wymuszaj. Po prostu bądź. I czekaj na to, co się wydarzy, kiedy Ty jedynie siedzisz...

Byłam tam. Pływałam w morzu frustracji, zanim wzburzone fale myśli zaczęły się uspakajać... Proces trwa. Jest coraz łatwiej. Tobie też się uda. Jeśli zechcesz... Czy warto? Sam się przekonaj. Próbuj wszystkiego, co czujesz, że może Ci posłużyć. Czasem zbłądzisz, ale i to jest potrzebne, by odrzucić to, co zbędne. Nie ma jednej recepty. Znajdziesz swój lek. Szukaj wytrwale. Będziesz wiedział, co służy Ci najbardziej, a jeśli to znajdziesz, chłoń, pracuj, działaj, odpuszczaj, rób wszystko tak, jak czujesz. Bez wymówek, wykrętów, przekładania czegokolwiek na później. Nikogo nie przechytrzysz. Oszukasz jedynie samego siebie. Nikogo więcej nie ma w tej przygodzie do głębi. Jesteś tylko Ty. Odważ się. Powiedz sobie TERAZ, od DZIŚ. Obiecuj i bądź wierny postanowieniu. Przecież jesteś w tej grze najważniejszy.

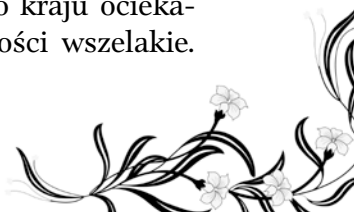
Tylko Ty. Nikt inny...

Rozumiesz?

Bardzo lubię poniedziałki

W dniu, kiedy dowiedziałam się, że mój Nauczyciel pości w poniedziałki i robi to już od 16 lat, zainteresowałam się sprawą bliżej. Na tyle blisko, że sama tak jak on rozpoczęłam post w imię Lorda Śiwy. Właśnie zbliżał się termin mojego pierwszego powrotu do Polski. Opuszczałam kraj, w którym nie było dla mnie nic, a zarazem wszystko. Ktoś by mógł powiedzieć: Post? Też mi coś... Dla samej idei postu? W Indiach nic nie jest przypadkowe i bez sensu. Każdy dzień ma znaczenie, a ponieważ zamieszkałam z rodziną bramina, astrologa, przestrzegającą wielu rytuałów, na każdym kroku słyszałam: Dziś nie jest dobry dzień na nakładanie oleju na włosy. Dziś nie powinnaś patrzeć na księżyc. Dziś nie wymieniaj pieniędzy, to nie jest dobry moment. Dziś i przez najbliższych dziewięć dni nie jemy cebuli i czosnku...

Przez pierwsze dwa tygodnie nie mogłam się odnaleźć w tej rzeczywistości reguł, zakazów i nakazów. Wszystko robiłam nie tak. Nie ta ręka, nie ta noga, nie ta godzina. Czułam się jak dziecko, w dodatku pouczana przez dzieci. Moje ego bardzo ucierpiało i aż bulgotało momentami ze złości. Chciałam uciec od tych wszystkich rytuałów i świętości, a przecież wiedziałam, że trafiłam do kraju oczekującego właśnie w powinności i niepowinności wszelakie.





Dłuższą chwilę zajęło mi zrozumienie, o co w tym wszystkim chodzi. I jak to zwykle ze mną bywa, początkowy bunt zamienił się w zrozumienie i akceptację. Podejrzewam, że wciąż popełniam masę błędów, ale nie są na tyle karygodne, żeby mnie upominać. Nikt nie stara się tu zrobić ze mnie Hinduski. Tak naprawdę nigdy nie spotkałam się z takim taktem, szacunkiem do mojej inności. Akceptują mnie w całej okazałości. A przecież jestem dla nich obca, więc jak to możliwe, że w ich domu czuję się jak u siebie? Jak to możliwe, że trzy tygodnie sprawiły, że stałam się częścią ich rodziny?

Jako jedynaczka zawsze marzyłam o rodzeństwie. Obce mi były historie rówieśników o braciach i siostrach, z którymi można zarówno konie kraść, jak i bić się na poduchy. I teraz, po 30 latach, do mojego życia wkroczyło brakujące ogniwo. Początkowo niezwykle męczące i irytujące, obecnie nie wiem, jak mogłam obejść się bez tej zagubionej części mnie.

Jak można nie kochać 8-letniej Natashy, która kiedy tylko otwiera oczy, zaczyna mówić i tak do momentu, kiedy ich nie zamknie do snu? To moje najlepsze radio, i to prosto z Puttparthi! Jak można nie kochać tej ośmiolatki, która pyta z czułością: – Jesteś zmęczona? Zrobię ci masaż – po czym głaszcze moją obolałą głowę z czułością, z jaką może to zrobić tylko dziecko pełne miłości. Za każdym razem rozczuła mnie jej dotyk, więc czasem spragniona ukojenia, trochę udaję i nadstawiam ciało pod jej dziecięce dłonie. Jak można nie kochać tej, która mówi: – Agni, uwielbiam się do ciebie przytulać. Albo: – Łał! Wyglądasz jak księżniczka, jesteś taka piękna. Albo: – Wyrzuc ze swojej głowy: „nie mogę” i wstaw tam: „tak, mogę!”.

Jak można nie kochać Abhisheika, mojego 10-letniego chłopaka? Czasem rozmawiam z nim jak z dorosłym. Nasze ulubione miejsce na randkowe pogaduchy to taras z wido-



kiem na góry. Jesteśmy tylko my, zachodzące słońce i nasze marzenia. Ujmuje mnie za serce jego zapał do nauki języka polskiego. Codziennie prosi mnie o kolejną porcję słów, a każdego wieczoru przytula się na dobranoc, czasem przykłęka na kolano i z zadziornym uśmiechem mówi: – Kocham cię, zostań moją żoną. – Wymawia to zdanie idealnie! Jego przyszła żona będzie szczęściarą. A serce roztapia się całkiem, kiedy słyszy: – Agni, jestem jak otwarta księga, pytaj mnie o wszystko.

Jak można nie kochać 13-letniej Prasidy, która zarzeka się, że napisze książkę o swojej złej karmie. Bo ileż razy dziennie można myć podłogę, naczynia i sprzątać w szafie? Koszmar bycia najstarszą siostrą trwa dla niej każdego dnia. Już dziś deklaruje, że nie wyjdzie za mąż i nie będzie miała dzieci. Ciekawe, kiedy dostanę zaproszenie na jej ślub?

Pewnego razu leżałyśmy obie na łóżku i rozmawiałyśmy jak dwie stare przyjaciółki. Nagle zorientowałam się, że mówię do dziecka o sprawach, których dziecko powinno raczej unikać. Zmieniłam szybko temat, ale ona się nie poddała i rozłożyła mnie na łopatki, mówiąc: – Opróżnij swoje serce. Nie trzymaj w nim niczego złego. Jeśli coś cię smuci, powiedz o tym komuś. Ja mówię tacie albo patrzę na zdjęcie Swamiego (Sai Baby), mówię, mówię tak długo, aż nie zostanie już nic. Nagle robi się lżej. Nigdy nie trzymaj tego, co złe czy smutne w sercu.

I takie jest moje hinduskie rodzeństwo. Ich mądrość zaskakuje mnie na każdym kroku. Przy czym są zwykłymi dziećmi, które się kłócą, nie chcą jeść albo jedzą za dużo, marudzą, kiedy muszą iść do szkoły i kiedy nie mogą w sobotnie wieczory oglądać horrorów.

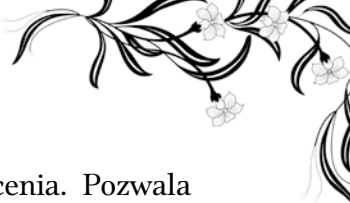
O czym to ja miałam pisać... A tak, bardzo lubię poniedziałki. To dzień specjalny, 24 h dla Lorda Śiwy. W hinduskiej astrologii każdy dzień tygodnia poświęcony jest



innemu Bogu. Poniedziałek jest właśnie dla Śiwy. To także dzień Księżycy. Zatem w tym dniu otrzymuje się błogosławieństwa Śiwy i Księżycy. Pierwszy błogosławi dobrym zdrowiem, partnerem życiowym, ochroną przed złymi duchami i energiami oraz daje siłę do stawienia czoła wszystkim przeciwnościom w życiu. Księżyc zaś daje szczęście i spokój umysłu. Jest mistrzem, który potrafi kontrolować ludzkie umysły.

Dlaczego tego dnia się pości? To czas, kiedy jest się całkowicie oddanym Bogu. Ciało odpoczywa i nie musi bezustannie trawić, staje się lżejsze, a z dłuższą praktyką – zdrowsze. To z medycznego punktu widzenia. A co na to Bharath? – Poszcząc, zdajesz się mówić: „Boże, zobacz, myślę o Tobie cały dzień, nie przyjmuję pokarmu, by móc skupić się jedynie na Tobie, więc proszę, spełnij moje pragnienia, pobłogosław mnie, pomóż, zbaw”. Tu się nie pości, by być szczupłym, a by być całkowicie skupionym na Wyższej Sił. Niektórzy tego dnia nawet nie gotują. Nawet taka praca w kuchni powinna być zatrzymana.

Śiwa jest Bogiem łagodnym i nie wymaga picia cały dzień jedynie wody. Istnieje kilka rodzajów postu. Tradycyjnie powiedziane jest, że w ciągu 24 godzin można przyjmując jeden posiłek pod warunkiem, że nie ma w nim czosnku ani cebuli. Inny rodzaj postu to wyrzeczenie się tego dnia czegoś, co sprawia nam wyjątkową przyjemność. Rezygnuje się z cukru, alkoholu, tytoniu czy innych używek. Coś trzeba poświęcić. Można umówić się z Śiwą, że cały dzień będzie się piło tylko soki albo jadło same owoce. To dość „łagodny” post, gdy porównamy go na przykład do postu, który raz w roku robią żony dla swoich mężów. Tu zasady są restrykcyjne: zero jedzenia, zero płynów, zero wody. 24 godziny całkowitej wstrzemięźliwości w przyjmowaniu czegokolwiek (o tym w innym rozdziale).



Lord Śiwa nie wymaga takiego poświęcenia. Pozwala zjeść wieczorem jeden posiłek. Post jest zatem dobrą drogą, by „złapać kontakt” z Bogiem. Bharath tłumaczył mi łagodnie: – Poświęcasz coś z miłości Bogu. Jeśli kogoś kochasz, co robisz? Kupujesz ukochanej osobie kwiaty, prezenty. Z Bogiem jest trudniej, bo Go nie widzisz, możesz jedynie poczuć Jego energię, a w tym celu musisz zadbać o swoje ciało, oczyścić je, upiększyć. Wtedy Bóg spojrzy na ciebie: „Och! To dziecko pości dla mnie? Kocha mnie tak mocno, że tyle dla mnie poświęca?”. Wtedy może zagościć w twoim ciele. Jak rozpoznasz, że boska energia zagościła w twoim ciele? Poczujesz niespodziewaną radość, szczęście, kiedy to się stanie, będziesz wiedziała, że to jest ON.

Jeśli tego dnia nie można podążać ściśle wedle reguł, Śiwa nie ma nic przeciwko, nie spotka nikogo za to boży gniew. Ten Bóg jest łagodny i wymaga jednego, całodziennego skupienia na Nim, myślenia tylko o Nim.

Według hinduskiej mitologii Lord Brahma jest głównym kreatorem wszechświata, on stworzył wszystko. Lord Wisznu jest twórcą reguł, jakimi rządzi się wszelkie stworzenie. Tworzy zasady postępowania dla każdej żywej istoty. I jest Lord Śiwa, wielki niszczyciel. On zna zasady życia i śmierci. Jest bardzo prosty i słynie ze szlachetności w spełnianiu pragnień oddanych wielbicieli. Ma miękkie serce. Kiedy stracił swoją ukochaną żonę Parwati, z rozpaczy zapomniał, że jest Bogiem. Krążył po świecie niczym obłąkany i zachowywał się jak człowiek.

Ci, którzy modlą się do niego, po pewnym czasie stają się do niego podobni. Są pełni pasji, o dobrym sercu, wiedzą, jak dawać miłość, i stają się jak jogini. W Indiach mawia się, że kiedy żyjesz, żyj jak Śiwa, o nic się nie martw, niczym nie przejmuj! Rządź sprawiedliwie jak Wisznu. Przez całe życie bądź też jak Brahma, twórca, zrób coś dla

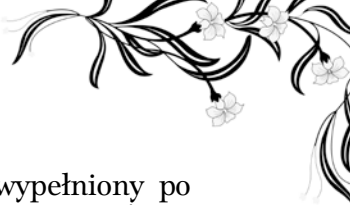


przyszłego pokolenia. Kiedy zostawisz swoją ziemską pracę, ktoś nowy przyjdzie na twoje miejsce, usiądzie na twoim krześle i będzie kontynuował twoje dzieło, by mogło jeszcze lepiej służyć innym.

Do Ciebie

Jeśli jeszcze nie próbowałaś całodziennego postu, może warto właśnie teraz? Czasem warto dać coś z siebie, przekroczyć znane, by wejść w nowe informacje o samym sobie. Nie chodzi o wielkie umartwianie się. Ot, choćby zrezygnować z używki, którą się lubi, czy z czegoś, co traktujemy jak coś oczywistego. Warto zrobić przerwę, by potem jeszcze bardziej docenić to, co jest na wyciągnięcie ręki. Sama zaczęłam od postu, ale wcale nie trzeba jechać do Indii jak ja, by móc rozpocząć praktykę. Otrzymałam pozwolenie, aby podzielić się zdobytą wiedzą, więc może warto od czasu do czasu poświęcić jeden poniedziałek dla samego siebie? Oczyszczyć ciało i umysł? Co Ci szkodzi? Bez żadnych wymówek i odkładania na później, bo praca, bo obowiązki, bo coś tam?

Po prostu zacznij od pierwszego poniedziałku z brzegu. Rano weź kąpiel. Śiwa uwielbia wodę. Dlatego woda, woda i jeszcze raz woda! Czyste ciało, czysty umysł, w którym przez cały dzień powinna rozbrzmiewać tylko jedna mantra: *Om nama Śiwaja*. W każdej czynności powinien być obecny Śiwa i jego imię. Myjesz naczynia, *Om nama Śiwaja*. Przygotowujesz posiłek, *Om nama Śiwaja*, każda marchewka, każde źdźbło ryżu winno być nasączone modlitwą. Stoisz w korku ulicznym, na kierownicy niech przysiądzie Śiwa. Mantra pozwala wyciszyć emocje i rozbiegany umysł. Wcale nie musisz siedzieć jak rozmodlony jogin



w pozycji medytacyjnej. Dzień w biurze wypełniony po brzegi pracą może mieć inne barwy, gdy gości w nim Śiwa. A kiedy po długim dniu postu (lub rezygnacji z ulubionej „używki”) przygotowujesz posiłek, należy ugotować go bez cebuli i czosnku (te pobudzają naszą seksualność). Rzecz jasna, tego dnia należy również stronić od łóżkowych igraszek. Kiedy kolacja jest gotowa, należy odłożyć maleńką porcję na osobny talerzyk i poprosić, by Śiwa przyjął Twój pokarm i pobłogosławił go. Warto zapalić świeczkę i kadzi-dełko, aby w uroczystym nastroju kończyć post, czytając poświęconą temu historię.

I tak po całym dniu, nieważne gdzie, ważne, że z imieniem Boga w sercu, około godziny 20.00 można przyjąć *prasadam* – święty posiłek. Warto zjeść rękoma. Zachęcam. Raz, że można zrobić coś inaczej niż dotychczas, a dwa – oddaje się w ten sposób szacunek jedzeniu, które jest boskie. Z talerza, przez dłoń do ust, wszystko smakuje inaczej. Po prostu spróbuj. Możesz nawet usiąść na podłodze zamiast przy stole. Im więcej rzeczy robi się inaczej niż na co dzień, tym umysł bardziej odpuszcza i pojawia się większa przestrzeń życiowa w nas. Próbuj. Przekraczaj to, co znane. Idź dalej. Nie zatrzymuj się w wygodnych kapciach. Idź boso!

Wszystko, co ofiarujesz Bogu, powinno być czyste. Ciało umyte, owoce świeże, kwiaty przez nikogo niewąchane. Raz, rzecz jasna, zaciągnęłam się zapachem świeżo zerwanego mango, które polecono mi zanieść do świątyni Śiwy, którą Bharath ma przy domu. Oczywiście trzeba było zrywać nowe, bo to już „wywąchane”. Zapach, kolor, smak, wszystko w nienaruszonym stanie powinno trafić przed oblicze Boga. I to, co najważniejsze, to intencja. Rano pomyśl, czego ci potrzeba na ten moment najbardziej, wyobraź sobie to ze szczegółami, poczuj siebie w sytuacji, kiedy to,